

CLARK RUSSELL.

## W ODMĘTACH OCEANU.

5 Zdałem sobie jasno sprawę z tego, że jeśli woda dalej będzie tak szybko się podnosiła, jak w ostatnich godzinach, to zguba nasza jest nieuchronną. Szybko pospieszyłem do kajuty, gdzie Helga spała na ławce. Energetyczne moje kroki musiały ją widocznie obudzić, gdyż, kiedy wszedłem, usiadła szybko. W tej chwili przez małe okienko kajuty wpadł do wnętrza błąd promień wschodzącego słońca. Helga ucieszyła się bardzo.

— Nareszcie mamy pogodę! — zawołała.  
— Niestety, jeszcze ciągle za mało dla nas korzystną.

— Dlaczego — pytała z niepokojem. — Czy wiatr ciągle jeszcze wieje od lądu?

— Tak i znowu zaczyna się wzmacniać.  
Teraz dopiero spostrzegła Helga moje wzburzenie. Pełna przerażenia zarzuciła mnie pytaniami, a kiedy zawiadomiłem ją o wyniku ostatniego pomiaru stanu wody, zerwała się, wzburzona.

— Panno Nilsen oświadczyłem poważnie, starając się zapanować nad ogarniającym mnie wzruszeniem — nie możemy już dłużej pozostać na „Aninie”. Należy zastanowić się nad tem, czy nie dałoby się znaleźć jakiegoś innego środka ratunku. Mojem zdaniem jedno nam tylko pozostało. Musimy jak najprędzej zbudować dużą tratwę i wyposażać ją odpowiednio, tak, aby każdej chwili można ją było spuścić na morze. Ten tylko środek ratunku pozostał nam, mojem zdaniem, chyba, że przed zatonięciem statku zabierze nas jakiś przejeżdżający parowiec.

— Cóż jednak zrobimy z moim ojcem?  
— Musimy go, rzecz prosta, zabrać z nami.  
— Jak pan to sobie wyobraża? Czy się to da zrobić? Przecież on się nie może z miejsca ruszyć.

Wyniesiemy go wraz z łóżkiem na pokład i na linach spuścimy powoli na tratwę.

— Tak, w ten sposób możnaby to zrobić — przyświadczyła Helga, odetchnąwszy głęboko. — Tak, to się musi udać. Jak długo jeszcze utrzyma się „Anina” na powierzchni, jeśli przestaniemy pompować?

— Najlepiej oceni to pani ojciec. Chodźmy do niego i zapytajmy się go.

Kiedy weszliśmy do kajuty, zastaliśmy kapitana Nilsena siedzącego na łóżku. W milczeniu jadł biszkopty.

— Nareszcie, zdaje się, pogoda się zmieniła — przywitał nas. — Właśnie widziałem promień słońca nad drzwiami. Co mówi barometr, panie Tregarthen?

Nagle spowaźniał i spojrzał uważnie na zgnębioną twarz Helgi. W jednej chwili wrócił cały jego niepokój.

— Co się stało? Jak ty wyglądasz, Helgo? Co zaszło nowego?

— Ojcie! — odpowiedziała młoda dziewczyna, spuszczać oczy — nie ma już najmniejszej wątpliwości, że „Anina” powoli tonie i że musimy wszystko przygotować, aby ją jak najprędzej opuścić.

— Co? — krzyknął chory i chwycił się kurczowo za brzeg łóżka. — „Anina” tonie? Musimy ją opuścić? Na Boga, czy nie pracowaliście przy pompach?

— Owszem kapitanie — odpowiedziałem — nie mamy sobie nic do wyrzucenia. Pańska córka pracowała nawet nad siły. Spojrz pan tylko na nią! Czyż nie wskazuje panu zdrowy rozsądek, że dalszej takiej pracy wcale jej siły nie zniosą?

— Pompa musi być w ruch puszczona! — krzyczał chory. — „Anina” nie może zatonać! To cały mój majątek! Bez niej dziecko moje stanie się żebraczką! Helga jest dosyć mocna, pan jej nie zna. Pompy muszą pracować!

— Kapitanie Nilsen — odpowiedziałem stanowczo — gdybyśmy mieli tuzin silnych ludzi na pokładzie, może wtedy możnaby ludzić się nadzieją, że uda nam się okręt utrzymać, aż pomoc nadejdzie. Uratować „Aniny” nie potrafiłoby obecnie nawet pięćdziesięciu ludzi, burza przedziurawiła ją bowiem jak rzeszoto. Nie pozostaje nam nic innego do zrobienia, jak przenieść się na tratwę.

Kapitan łamał ręce z rozpacz.

— Gdybym choć na kilka godzin mógł odzyskać władzę w mych członkach — białą pokazałbym wam wtedy, co może wola i jak potrafi panować nad ciałem. Dlaczego muszę tu tak marnie gnąć? Z głośnym okrzykiem rozpacz rzucił się na posłanie.

— Ojcie! — błagała Helga — uwierz naszym słowom! Już wczoraj wieczorem obawialiśmy się najgorszego. Dzisiaj zaś ani chwili nie można wątpić, iż pan Tregarthen ma zupełną rację. Nie powinniśmy obecnie myśleć o statku, ale o ratowaniu nas, a przede wszystkim ciebie, mój biedny, kochany ojcie!

Przeczekaliśmy chwilę, aż zrozpaczony chory trochę się uspokoił i zacząłem mu następnie wyluszczać mój plan. Przysłuchiwał się, pozornie spokojny, moim wywodom. Jedynie tylko silne drżenie nosa i gwałtownie wznosząca się i opadająca pierś zdradzały, jak silną wewnętrzną toczył walkę. Helga wyszła na pokład i przyniosła mokrą jeszcze po ostatnim pomiarze sondę.

— Przekonaj się sam, ojcie — podała mu ją, wskazując znak.

Kapitan spojrział i załamał znowu ręce z rozpacz.

— Tracimy drogi czas — nalegałem. — Przy jakim stanie wody okręt musi zatonać?

Chory nie odpowiedział, patrzył tylko bezmyślnie na sondę, jakbyby rozum stracił.

— Chodźmy — zawołałem, pociągając Helgę za sobą. — Widzę teraz, że nadszedł ostateczny czas, abyśmy pomyśleli o ratunku.

— Jeśli nie umieliście uratować okrętu, jakże chcecie ratować siebie — rzucił za nami kapitan.

Obróciłem się od drzwi.

— Musimy zbudować tratwę.

— Tratwę!? Na takim morzu! — sztychł chory.

Zirytowany odwróciłem się od niego i opuściłem kajutę. Niech sobie sam narzeka na smutny los okrętu, który widocznie bardziej go obchodzi, niż życie własnego dziecka. Po chwili także Helga zjawiła się na pokładzie.

— Choroba pomieszała jego zmysły — usprawiedliwiała ojca.

— Tem bardziej musimy we dwoje myśleć o jego i naszym ocaleniu — odpowiedziałem. — Nie tracmy na próżno czasu. Niech pani spojrzy, wiatr uciżył się, a morze nie jest już tak wzburzone, jak było przedtem.

Za wiele czasu i miejsca zajęłoby opisywanie tego, jak budowaliśmy tratwę. Trzeba było znosić materiał, wiązać belki i przybijać deski. Mimo, iż praca ta była bardzo męcząca, to jednak nie utrudziła nas ani w połowie tak bardzo, jak dziesięć minut pracy przy pompach. O dziewiątej zrobiliśmy małą przerwę w pracy, aby odpocząć i odwiedzić chorego. Mierzenia stanu wody, przeprowadzone przez Helgę, wykazały nam jeszcze raz, że wszelka nadzieja utrzymania okrętu jest już stracona. Woda podnosiła się tak szybko, że według moich obliczeń, których głośno wypowiedzieć nie śmiałem, „Anina” najdłużej do piątej po południu mogła jeszcze trzymać się na falach.

Ponieważ w Tintrenale nieraz całe dnie spędzałem na wybrzeżu, gdzie był mały dok do budowania statków, a często i sam pomagałem przy robotach, ucząc się niejednego, miałem sposobność obecnie zużytkować nabyte wiadomości. Budowałem też tratwę według zasad nautycznych, taką, aby mogła oprzeć się naporowi fal.

Z czterech silnych rei zbudowaliśmy najpierw ramę, w której rogach przymocowaliśmy cztery puste beczki. Następnie rama ta została przykryta poprzecznymi belkami, na których znów przybiliśmy pomost z łat, desek, drzwi i t. p., co tylko odpowiedniego znaleźliśmy na okręcie. Całą tę budowę powiązaliśmy następnie mocno linami. W środku tratwy ustawiłem jedną reję, jako maszt, na szczycie którego miałem zamiar zaciągnąć następnie flagę ratunkową. Do około tratwy zbudowaliśmy jeszcze przy pomocy sznurów rodzaj poręcz, która w razie wysokiej fali miała nas chronić przed spadnięciem do morza. Liczne dziury, jakie były w podłodze tratwy, a których wobec bardzo pierwotnego sposobu budowania tratwy uniknąć nie było można, postanowiliśmy zapełnić prowiantami, oraz naczyniami z wodą do picia.

Coraz słabsze poruszenia przez wiatr naszego sygnału ratunkowego wskazywały na to, że wichura już zupełnie ucichła. Około pierwszej wiatr zmniejszył się tak, iż był to raczej spokojny wietrzyk północno-wschodni. Także morze znacznie się uspokoiło, a szerokie leniwe fale szły na południowy zachód. Niebo wypogodziło się i odbijało w morzu swoją toń niebieską, przerywaną tylko gdzieś tam gromadkami chmur pierzastych. Wszystko składało się tak, że liczyliśmy na pewne powodzenie naszego przedsięwzięcia.

Jestem przekonany, że sam nie byłbym nigdy dokonał tego trudnego dzieła, gdyby nie podniecała mego zapału i energii obecność Helgi. Jej odwaga, wytrwałość, bystre pojmowanie każdej uwagi, jaką

robiłem, jej niezmordowana energia stały się dla mnie ogromnie cenną pomocą.

Ażeby naszą tratwę spuścić z pokładu na morze, postanowiliśmy użyć windy okrętowej, służącej do podnoszenia kotwic, a linę przeciągnąć przez wielką reję. Helga ofiarowała swą pomoc w przetrzuceniu u góry liny, odmówiłem jednak, nie dowierzając jej słabym ramionom. Przewyższała mnie ona, co prawda, w zwinności i sprawności marynarskiej, uważałem jednak, że lepiej potrafię umocować blok windy na rei. Szybko wyspinałem się na górę i załatwiłem się z robotą. Z wysoka spojrzałem jeszcze raz na morze. W majestatycznej wielkości rozciągało się od jednego krańca horyzontu po drugi. Dreszcz przeszedł mi po skórze, kiedy z tym ogromem wody porównałem malutką naszą tratwę. Przecież nawet wielki okręt pod nami, który tonął, wyglądał tu, jak punkcik.

Tratwę spuściliśmy z pokładu na morze łatwiej, niż przypuszczaliśmy. Winda funkcjonowała doskonale, a wspólne nasze siły podolały zadaniu. Najpierw podnieśliśmy ją na wysokość burty okrętowej, następnie spuściliśmy powoli po boku okrętu, a po chwili skakała już i tańczyła nasza nowa ostoja, niesiona przez puste beczki, na falach morskich.

— Musimy teraz zaopatrzyć się w żywność — oświadczyłem mej towarzyszkę. — Chodźmy, panno Nilsen!

— Proszę, niech mnie pan nazywa Helgą — przerwała mi. — Na cóż zdadzą się nam te czcze formy w takiej chwili.

— A więc naprzód, Helgo! — zawołałem, a w sercu mojem zaczęło się budzić jakieś żywsze uczucie dla tej dzielnej młodej ósóbki, która przy moim boku tak dzielnie walczyła.

W przeciągu dwudziestu minut zebraliśmy tyle zapasów żywności, że trzy osoby mogły nimi żywić się przez miesiąc. Były tam puszki konserw mięsnych, kilka szynek, kilkanaście paczek sucharów okrętowych, ser i kilka beczek ze słodką wodą. Kiedy napełnialiśmy właśnie owe beczki wodą, zwrócił moją uwagę jakiś dziwny szmer, dochodzący z wnętrza statku. Opowiedziałem o mem spostrzeżeniu Heldze.

— Słyszę — odpowiedziała — to woda wdiera się do wnętrza z takim szumem.

W ciszy wokół nas strasznie rozbrzmiewało bulgotanie i chlupanie wody, napełniającej okręt; podnosiła ona już i przewracała paki i paczki ładunku statku. Zarazem odgłosy te przypominały nam, że nie mamy ani chwili do stracenia. Szybko wyciągnąłem ostatnią beczkę z wodą na pokład i sam wyskoczyłem, aby zamknąć drzwi zapadni, kiedy nagle coś skoczyło mi na plecy. Z przerażeniem odwróciłem się i ujrzałem czarnego szczura, który po moich plecach skoczył na pokład okrętu.

Helga z okrzykiem odskoczyła, kiedy wstrętne zwierzę przebiegło jej koło nóg. Ja także przestraszyłem się i jeszcze długo potem odczuwałem na szyi wrażenie ostrej sierści zwierzęcia.

Patrz Helgo! szczury opuszczają okręt, uciekając z niego przed zatonięciem — rzuciłem mej towarzyszkę.

Młode dziewczę zamknęło oczy z wewnętrznym dreszczem odrazy. Nie mieliśmy jednak wiele czasu, aby zastanowić się nad naszymi uczuciami. Trzeba było na gwałt przygotowane zapasy przenieść i rozmieścić na tratwie. Wyczekałem chwili, kiedy fale podniosły ją na wysokość pokładu i skoczyłem odważnie. Przekonałem się równocześnie, ku memu wielkiemu przerażeniu, że nasza tratwa uderzała za każdą falą bardzo silnie o bok statku. Jeśli nie chcieliśmy więc narazić jej na rozbicie, a w każdym razie na silne osłabienie wytrzymałości, powinniśmy byli jak najprędzej uciekać od tonącego statku.

Zabrałem się też do roboty. Helga podawała mi z pokładu paczki i puszki, a ja upychałem je, o ile się dało, po różnych szparach tratwy. Zarazem zastanawiałem się nad tem, w jaki sposób przenieśliśmy na nią kapitana Nilsena.

— Czy łóżko pani ojca wisi na hakach? — zapytałem Helgi, kiedy powróciłem na pokład.

— Tak jest — odpowiedziała — ono wisi tak jak hamak.

— W takim razie umocujemy je na linach, które uwiążemy u rogów i przeciągniemy je przez hak u sufitu nad łóżkiem. Jeśli następnie przetniemy liny, przytrzymujące łóżko przy ścianach, będziemy mogli powoli opuścić ojca na ziemię, bez sprawiania mu zbyt wielkich bólów.

Wyszukałem potrzebne liny, a następnie pospieszyliśmy oboje z Helgą do kajuty jej ojca.

— Cóż znowu stało się nowego? — powitał nas kapitan Nilsen głosem wzburzonym, patrząc podejrzliwie na liny, które niosłem w ręce.